

MARIAN ZIĘBA

ur. 1936; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa, PRL
Słowa kluczowe	Lublin ; PRL ; codzienność PRL ; refleksje o życiu ; kawiarnia pana Widelskiego ; pasja do książek ; relacje w pracy w okresie PRL ; koniki ; wyjazdy zagraniczne ; obchody milenijne w 1966 roku ; ruch "Światło-Życie" ; przewóz książek ; drugi obieg ; wybór papieża Polaka ; Błachnicki, Franciszek ; stan wojenny ; kolejki w sklepach ; listy kolejkowe ; Boże Ciało w stanie wojennym ; rok 1989 ; własny interes ; nauczyciele z technikum

Marian Zięba - całość relacji świadka historii

1. Rodzina, dzieciństwo i początek wojny

Nazywam się Marian Zięba. Urodziłem się w 1936 roku w Lublinie. Mieszkałem przy ulicy Granicznej 6. Mój tata Stanisław był mistrzem blacharskim na Krakowskim Przedmieściu 41, obok sądu, miał swój zakład. Naprzeciwko był inny znany zakład pana Popiołka. Dużo osób, szczególnie młodzieży, zna pana Popiołka, bo tam najlepiej były ostrzone łyżwy w tamtym czasie. Mój tata zajmował się galanterią blacharską. Robił takie przyrządy do odciągania mleka, lampy dorożek konnych, bo w tym czasie w Lublinie funkcjonowały dorożki konne. Dorożki konne miały obowiązek zapalać światło, a więc były potrzebne takie specjalne latarnie, gdzie wkładało się tam żywe światło i janczary: dzyń, dzyń, dzyń, dzyń! – jechały po zaśnieżonych ulicach Lublina. Nie wiem, ile w tym jest prawdy, ale mówiło się w rodzinie, że te topory zamkowe i kogutka [na Bramie Trynitarzkiej] – że tata też miał w tym swój udział. A na pewno specjalizował się w wieżach kościelnych i tu już wiem na pewno, że wykonywał wieżę, to znaczy krycie wież kościoła dominikanów, a to wiem z autopsji, bo nawet tacie w tym pomagałem robiąc tak zwaną asekurację. Na dach mi tata nie pozwalał wejść, ale z otworu tego, co wychodzi się na dach, podawałem różne narzędzia, farbę i tak dalej. Przeżycie bardzo duże, ale ja nie mam lęku wysokości. Mieszkaliśmy na ulicy Środkowej. Jak powiedziałem, w momencie rozpoczęcia wojny miałem zaledwie trzy lata. Niewiele z tego okresu pamiętam, ale pamiętam na przykład wejście Niemców do Lublina. Siedzieliśmy w piwnicy na ulicy Narutowicza, bo tam mieszkali moi dziadkowie. Z okna piwnicznego wyglądaliśmy na

ulicę. Ulicą wjeżdżali Niemcy na motorach. Pamiętam, że mieli zawinięte do łokci rękawy. Co mnie uderzyło? Mundury mieli w kolorze jakimś zielonym, ale te wywinięte rękawy były białe – prawdopodobnie to były koszule. Przez głośniki było podawane: „Nie wychylać się, bo będziemy strzelać bez ostrzeżenia!” – to było mówione w języku polskim. Podobno ktoś na ulicy Narutowicza z okna próbował ich oglądać, kobieta – była trafiona i była zraniona. To znam z opowiadań.

2. Życie codzienne w czasie wojny

Wojna oczami dziecka. W 1942 roku do mieszkania naszego, gdy tata był w pracy, przyszedł jakiś pan. Zapytał mamę, czy nie kupi rąbanki. Oczywiście to było zakazane. A jednocześnie bardzo rozglądał się po mieszkaniu. Mama powiedziała, że nie kupi rąbanki. Mieliśmy inne źródło zaopatrzenia, bo to była wojna, to było miasto, to były kartki. Ludzie na prowincji nie mieli pieniędzy, ale mieli co jeść. A w mieście nie było ani jednego, ani drugiego. Chleb – mówiło się, że z trocinami. No dzisiaj wiem, że to nie były trociny, to były otręby, ale chyba tego było ze dwadzieścia procent. Marmolada robiona z marchwi i buraków. To było ówczesne jedzenie. Po wizycie tego pana, który oferował nam rąbankę, dwa dni później przyszedł nakaz: opróżnić mieszkanie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Mama była w poważnym stanie, może jeszcze nie знаła metod niemieckich. Powiedziała: „Nie, ja jestem w poważnym stanie, ja się nigdzie stąd nie ruszę”. I znowu pamiętam: siedziałem na tapczanie na podwórku. Przyjechała straż, wynieśli meble na podwórko, i ja siedziałem i czekałem, bo tata poszedł szukać jakiegoś innego pomieszczenia. Dostał listę mieszkań zastępczych. I znalazł na ulicy Środkowej pod numerem 9. Na samym końcu ulicy Środkowej stał długi budynek, a w zasadzie barak. To było normalne gospodarstwo rolne z przychówkiem. Naprzeciwko domu stała obora, w oborze były świnki i krowy. I tam zamieszkaliśmy. Pokój był cztery na cztery metry kwadratowe. Nie miał światła, nie miał wody i nie miał ogrzewania. Oświetlenie było tak zwaną lampą karbidową. Paliła się dosyć jasna, ale bardzo nieprzyjemny był zapach. Po pewnym czasie pozwolono nam kawałek korytarza przyłączyć do mieszkania i tam tata wybudował kuchnię. Ubikacja była na zewnątrz – przepraszam, tak zwana trzycylindrowa, to znaczy pojemnik na fekalia miał mniej więcej trzy na trzy metry – taki sześcian o wymiarze trzech metrów – i trzy stanowiska. To się wypełniało do pełna, jak się wypełniło, to przyjeżdżali tak zwani kordelarze – to był zawód, o którym dzisiaj już nikt nie pamięta – którzy wybierali te nieczystości za pomocą wiader i rozlewali po okolicznych polach. Na podwórku stała studnia bardzo duża. Niestety z nabraniem wody musieliśmy czekać, jak tata wróci z pracy, bo te wiaderka to były takie beczułki i one miały pojemność no powiedzmy, że około trzydziestu a może i czterdziestu litrów, tak że to zupełnie było ponad moje siły. I pamiętam, że jak nie było wody, to czekaliśmy, jak tata wróci, to będzie woda. Studnia była bardzo sprytna, bo miała takie dwa wiaderka. Jak jedno ciągnęło się do góry, to drugie

swoim ciężarem obciążało, żeby było łatwiej ciągnąć, i było takie wielkie koło z rączką, koło takie o średnicy półtora metra. I kręciło się, nabierało się tę wodę. Woda była bardzo dobra z tej studni. Później już był komfort, bo później na podwórku pojawił się kran, już można było pójść z wiaderkiem i nabrać wody.

3. Do szkoły poszedłem w 1943 roku

Szkoła – w tym czasie, w czasie okupacji, rozpocząłem szkołę, bo do szkoły poszedłem w 1943 roku, w środku wojny można powiedzieć. Szkoły nie było. Moja klasa mieściła się na ulicy Narutowicza. Niedawno była tam apteka. Wędrowaliśmy. Później, byłem w trzeciej klasie i na rogu ulicy Okopowej i Narutowicza stał taki domek i tam mieściły się dwie klasy. Coś w rodzaju takiego starego dworku. Dosyć długo on stał, później obok niego mieszkał znany pięściarz lubelski Henio Kukier – nawiasem mówiąc mój kolega z podwórka. Odrabianie lekcji – no, potrzebny był atrament, atramentu nie było. Atrament robiliśmy wszyscy w klasie z buraków. Była tak zwana obsadka ze stalówką i pisało się sokiem z buraków. Tak było do końca wojny. Luksus był, ponieważ ja nie tolerowałem tej lampy karbidowej, to do odrabiania lekcji miałem stawianą lampę naftową. Teraz: jak wyglądało moje dzieciństwo? Ten pokój, w którym stał tapczan, łóżko rodziców, etażerka i stół, i mała szafa praktycznie nie pozostawiał miejsca na zamieszkanie. Do mieszkania przychodziłem, jak mama zawołała, żeby coś zjeść lub – no nie ukrywam, jak mnie nagonili do odrabiania lekcji.

4. Króliki i kury

Cały czas spędzało się, to mówiło się „na podwórku”, a tak naprawdę to na ulicy. Z wyżywieniem było bardzo ciężko, jak wspominałem. Moi rodzice przyjęli na stancję ucznia z Włodawy, który chodził do szkoły [imienia A. i J.] Vetterów. W tym czasie w Lublinie były czynne dwie szkoły: szkoła handlowa Vetterów i Wawelberga dawna, czyli szkoła budownictwa. I właśnie w tym czasie trzeba było organizować się, trzeba było zdobywać jedzenie, to między innymi należało do mnie. Na podwórku stały komórki, w których trzymało się węgiel. W tych komórkach, prawie we wszystkich, były trzymane króliki i kury. Z królikami był kłopot, bo trzymali wszyscy króliki i w obrębie pięciuset metrów od domu żadnej trawki znaleźć nie można było. A ja byłem odpowiedzialny za zdobycie jedzenia dla królików. Najlepsze miejsce to był obecny stadion żużlowy. Tam był mlecz, tam była trawa, no ale było dosyć daleko, a ja przecież jeszcze nie byłem duży. Trzymaliśmy dwie kury. To jest ciekawa rzecz: na targ, który był przy ulicy Środkowej, na Narutowicza, ale tam, jak się zaczynał wlot do ulicy Środkowej, dosyć długo i dosyć duży to był targ – tam można było kupić różne rzeczy, między innymi kury. Po kupno kury mama szła osobiście, bo trzeba było kupić kurę taką, która będzie się niosła. No i mamy dwie kury na sznurku – znowu mój

obowiązek, bo dwa razy dziennie musiałem kury wypuszczać na podwórko, żeby sobie tam podziobały. Kury niosły jajka. Dużo tych jajek nie było, ale mama jajka zbierała i tych jajek nie jedliśmy, tylko jajka były sprzedawane sąsiadce. Jak kura przestawała się nieść, to szła na rosół, a za pieniądze, które były uzyskane z jajek, kupowało się następną kurę. No z królikami to było inaczej, króliki rosły szybko, ale przeważnie były chowane na jakieś święto.

5. Zabawy i rozrywki z lat dzieciennych

Zabawy na podwórku najróżniejsze: łyżwy – marzenie. Sztabiki, to znaczy do pana Popiołka szło się z takimi kątowniczkami. On w kątowniczkach wiercił otwory, żeby można było te sztabiki – tak śmy to nazywali – przywiązać do buta. No i nauka jazdy najpierw na sztabikach, ale ja bardzo szybko zaraz później miałem łyżwy takie przykręcane do butów, ale żeby mieć łyżwy przykręcane do butów, to przede wszystkim trzeba było mieć buty, a z tym było różnie. Ale rodzice postarali się, ja miałem i buty, i dostałem od mojej cioci łyżwy przykręcane takim specjalnym kluczem. No i zaczęła się nauka jazdy na łyżwach. Gdzie? Rusałka – Rusałka była zbombardowana, były leje po bombach, te leje wypełniały się wodą, no i stanowiły doskonały sposób do nauki jazdy na łyżwach. Robiliśmy postępy. Dla tych najbardziej zaawansowanych bohaterskich łyżwiarzy to był, no nie ukrywam, chyba samobójczy zjazd od kościoła bernardynów na dół do ulicy Dolnej Panny Marii. No ale to zjeżdżali tylko najodważniejsi, a kończyło się różnie, bardzo często silnym poturbowaniem, no bo to przyznam z perspektywy czasu, że nie było to mądre, chociaż ja też dwa razy chyba zjechałem. Pływanie – nauczyłem się pływać, bardzo chciałem. Gdzie? W odległości około dziesięciu metrów w górę rzeki, po prawym brzegu Bystrzycy był też lej po bombie. Tak, mniej więcej, naprzeciwko dzisiejszych wodociągów. Doskonałe miejsce do uczenia się pływania, głębokość duża. Z głową, tata mnie uczył. Podciągał mnie za włosy do góry, mówił: „Pływaj, bo się utopisz” – no i nauczyłem się. Bystrzyca – osobne zagadnienie. Na Bystrzycy były organizowane regaty. Dwa kajaki swobodnie mijały się. Na wysokości obecnych wodociągów budynku stał barak z kajakami. To była liga morska. Można było się zapisać.

6. Bombardowanie Lublina i ucieczka z miasta na wieś

Wrócę troszeczkę do daty 11 maja 1944 roku. Bombardowanie miasta przez Rosjan. Front był w okolicach Chełma. Czas manifestu. Mój tata był Stanisław i były jego imieniny. Pamiętam, na imieninach było kilka osób, bo trzeba pamiętać, że w czasie okupacji bardzo niechętnie ludzie wychodzili na ulicę, bo były łapanki, mój tata raz został złapany na ulicy Chopina i trzy doby spędził na tak zwanym placu sokoła, tam, gdzie teraz jest komenda policji. Plac przy cmentarzu był, tam graliśmy w piłkę, a Niemcy trzymali tam zakładników, to znaczy jak działały się jakieś ważne rzeczy dla

Niemców, to robili łapankę i tam ogrodzone było drutem kolczastym, po rogach stały karabiny maszynowe i tam mój tata trzy doby na polu spędził. Mama próbowała zanieść coś do jedzenia – nie pozwolili. A więc siedzieliśmy w domu. Śpiewało się po cichu, rozmawiało się dużo, robiło się ozdoby choinkowe, graliśmy w najróżniejsze gry typu Chińczyk i tak dalej, w karty też – nie na pieniądze, na zapałki. Ludzie trzymali się w domu. Były imieniny taty Stanisława i 11 maja jedliśmy bardzo dobrą kolację, bo jeszcze zostało z imienin, a na imieniny zbierało się przez dwa tygodnie, a więc była uczta. Około godziny dwudziestej trzeciej usłyszeliśmy straszliwy huk. „Bomby!” – ktoś krzyknął, blisko bomby, właśnie w pobliżu mostu na [Alej] Piłsudskiego i kilka bomb spadło na Rusałce. To była odległość około dwustu metrów od naszego domu. Uciekliśmy do piwnicy, bo była jedna piwnica murowana. Na drugi dzień panika, wszyscy chcą uciekać z miasta. Mówiło się, że w nalocie brało udział około 150 samolotów. Nalot trwał około dwóch godzin, ale niestety syreny alarmowe włączyły się dopiero po kilkudziesięciu minutach, jak już było za późno. Masakra. Niemcy używali bomb burzących, a więc jeżeli bomba trafiła w budynek, to burzyła budynek, ale osobom, które znajdowały się na zewnątrz, nic poważniejszego nie groziło, chyba że odłamki z artylerii przeciwlotniczej, która strzelała w górę no i to rozrywało się i te odłamki leciały i raniły ludzi, jak spadały. Rosjanie użyli bomb rozpryskowych. Najwięcej osób zginęło w dzielnicy Dziesiąta, Abramowice, ale upadły też bomby na Narutowicza i na ulicy chyba Solnej czy Orlej – to były te najbliższe. No pierwsza rzecz to było poszukiwanie, czy ktoś z rodziny zginął i strach: „Musimy uciekać”, ale od razu mężczyźni następnego dnia na ogrodzie, który przylegał do naszych budynków, wykopali taki schron-okop, taki zygzak. Przykryte to było jakimś balami, blachą, żeby tam można było się chować przed odłami. Po kilku dniach mój wujek zorganizował samochód. I na ten samochód zostaliśmy załadowani – było nas tam około piętnastu osób. Wszyscy opuszczali miasto, uciekali do podmiejskich miejscowości. Nas wujek wywiózł w okolicę Michowa do miejscowości Rudzienko. Mieliśmy ze sobą, pamiętam, tylko kołdry – nie wszyscy – i poduszki. Nie było co zabierać. A przede wszystkim czego nie mieliśmy? Nie mieliśmy pieniędzy i nie mieliśmy jedzenia. Przez pierwsze kilka dni gospodarz miejscowy, który pozwolił nam nocować w stodole i w takiej obórce, ale tam nie było zwierząt, tylko siano, dawali nam jeść, ale później powiedzieli: „My sami nie mamy” – trzeba było jedzenie organizować. Lebioda, szpinak na łące, spady z jabłek – to był miesiąc czerwiec, a w zasadzie połowa maja, bo taki jakiś tydzień czasu po tym bombardowaniu uciekliśmy z Lublina, bo już Rosjanie zbliżali się do miasta. Później zmienialiśmy dwukrotnie miejsce zamieszkania. Między innymi z tego powodu, że nie było nic do jedzenia. Byliśmy później w Wypnisze i tam przygarnął nas daleki kuzyn Franciszek Kusyk. O, tam już nam było dobrze, bo Franciszek, wujek Kusyk częstował nas miodem, bo miał pasiekę, to był zamożny gospodarz. I tam my – uciekinierzy u niego znaleźliśmy bardzo dobre warunki, ale tata mój w pewnym momencie odezwał się do mamy: „Słuchaj, Zosiu – bo tak do niej mówił – coś to jest

podejrzane. Zobacz, co jakiś czas przyjeżdża facet na koniu, gwizdże, a Franek do niego wychodzi”. Później dowiedziałem się, że wujek Franek był w komendzie obwodu Batalionów Chłopskich i AK, że był dowódcą tak zwanych SS, czyli Służb Specjalnych Batalionów Chłopskich. Pięćdziesiąt akcji bojowych i zdobycie Michowa. I 22 lipca – dla mnie wielkie święto, imieniny i urodziny. Na urodziny dostałem kurczaczka. Nie mówię kurczaka, tylko kurczaczka, bo ten kurczaczek to był taki bardzo mały kurczaczek, ale ten kurczaczek posłużył do zrobienia przyjęcia imieninowego. Był rosół na całe dwanaście osób ugotowany. I ten dzień to już była wielka feta, już było dobre jedzenie, już było święto. Nie dlatego, że był ogłoszony dwudziesty drugi lipca, tylko dlatego, że chłopcy wyszli z lasu. Wtedy zobaczyłem wujka z całym oddziałem, z biało-czerwonymi opaskami i z bronią w ręku. W okolicach wyłapywano Niemców. Kilku udało się złapać. Co z nimi się stało? Nie wiem, ale widzieliśmy też, że po rowach leżeli zabici Niemcy.

7. Wygląd Lublina po bombardowaniu

Mniej więcej po dwóch tygodniach, a może po tygodniu, gdy już Lublin został „oswobodzony”, chcieliśmy jak najszybciej wrócić do miasta, bo była obawa o mienie, były kradzieże. Wszyscy z miasta uciekli. Były walki. I na ten czas wróciliśmy na naszą ulicę Środkową i stwierdziliśmy, że w kuchni na stole było stanowisko karabinu maszynowego. Okno było rozwalone, mnóstwo łusek wkoło, no i wyraźne ślady, że tam było stanowisko: resztki jedzenia, jakiś tam porzucony sprzęt wojskowy. Zaczęliśmy od sprzątania, od zaklejenia szyb najpierw jakimiś, pamiętam, papierami, a później tata zdobył szkło. O szkło było bardzo trudno, bo na skutek tych wszystkich nalotów i wybuchów bardzo dużo szkła, okien było wybitych. I na przykład była taka zasada, że nie wolno się było chować przy budynkach, bo dużo osób było rannych z tego powodu, że jak leciały szyby, to szyby kaleczyły, trzeba było chować się z daleka od budynków. No i teraz miasto – wojna oczami dziecka. Kilka dni po przyjeździe miasto było jeszcze nieuprzątnięte. Tata wziął mnie ze sobą na daleką wyprawę, bo ze Środkowej pieszo przez ulicę Lipową, Aleje Raclawickie szliśmy w kierunku Dzbenina i Sławinka. Tam był majątek chyba hrabiego Chodorowskiego, jeżeli dobrze pamiętam, [Dzbenin należał do rodziny Rzączyńskich, natomiast Sławin był własnością Antoniego Krychowskiego], zarządcą tam był niejaki pan Makarski – tata bardzo znanego architekta i malarza lubelskiego, Mariana Makarskiego. Tam tata otrzymał, że tak powiem, wezwanie, żeby zająć się reperowaniem przede wszystkim dachów, bo odłamki, bo dziury, bo w czasie wojny nikt tego nie robił, bo nie było warto. Teraz nastąpił okres sprzątania i naprawy tego, co się dało, żeby zacząć normalne życie. Ale ten mój spacer to będę pamiętał do końca życia i pamiętam. Na Krakowskim [Przedmieściu], na Alejach Raclawickich, mniej więcej na wysokości Ogrodu Saskiego, jak jest Domek Saski, jeszcze leżało mnóstwo sprzętu wojskowego porzuconego: maski, hełmy, jakieś popalone karabiny – na wysokości

kościół garnizonowy był rozwalony, spalony czołg. No i jeszcze po bokach leżały takie nadmuchane konie. Już nie było, te konie już były sprzątnięte, ale ja jeszcze, jeszcze tam je widziałem kilka dni wcześniej, dlatego że – tak jak mówiłem, ja się chowałem na ulicy. My kilka dni po przyjeździe do Lublina pobiegliśmy na Majdanek zobaczyć, bo o Majdanku mówiło się wiele, a więc co tam jest, ciekawa rzecz. Majdanek jeszcze był nieuprzątnięty.

8. Dostałem dwie bułeczki dla chorego brata

I jeszcze jedno wspomnienie z okresu okupacji, które pielęgnuję tak do końca życia. Otóż w czasie wojny mój brat młodszy ode mnie o siedem lat zachorował. Nie było w Lublinie polskich lekarzy, bo lekarze zostali zmobilizowani. Byli albo w obozach jenieckich, albo w Katyniu. Przyjmował lekarz niemiecki i po długiej kolejce mama z tym bardzo chorym bratem udała się do tego lekarza. Zapisał jakieś leki i receptę na dwie bułeczki dziennie. I znowu to była moja służba. Z tą receptą u zbiegu ulic Narutowicza i Górnej była piekarnia. Tam trzeba było stanąć w kolejce, bo inni byli też, którzy mieli recepty lub specjalne kartki. Zapach świeżego pieczywa wiercił w nosie. Dostałem dwie bułeczki. Jak je teraz donieść do domu? Jak to zrobić, żeby nie ugryźć? No nie mogę, przecież brat jest chory, to jest dla niego lekarstwo. No mama tam oczywiście odkroiła kawałeczek, ale zapach tych świeżych bułek to będę pamiętał bardzo długo.

9. Zakład taty został zlikwidowany przez domiary

No i później nastąpiły już inne czasy. Zaraz po wojnie wielki ruch. Wszyscy rzucili się do odbudowy, powstały sklepy. O dziwo, sklepy były pełne wszystkiego. Dopiero po kilku latach – czterech chyba, pięciu – mniej więcej w latach pięćdziesiątych było likwidowane to wszystko w sposób planowy. Ten okres zaraz powojenny, to był okres entuzjazmu i wielkiego rozwoju. Można było dostać wszystko, jak miało się pieniądze. A myśmy mieli pieniądze, bo wszyscy nagle zaczęli tatę potrzebować. No i teraz: czy wrócić na Graniczną? Można było wrócić, ale trzeba było sprawę oddać do sądu. Tata powiedział: „Wiesz co? Nieźle nam się teraz powodzi, tak dobrze zakład prosperuje, to znajdziemy sobie jakieś porządne mieszkanie, poczekajmy”. No nie doczekaliśmy. Tata został zlikwidowany wtedy, kiedy likwidowano tak zwaną prywatną inicjatywę przez tak zwane domiary. I znowu straszliwe słowo, które do dzisiaj mnie prześladowa: sekwestrator. Dzisiaj nazywa się to komornik. To był taki pan, który przychodził do domu, zabierał wszystko. Kupon sobie tatuś kupił na garnitur, żeby uszyć, to musiał kupon być u sąsiadów, bo jak przyjdą, to zabiorą. W domu nie mieliśmy nic, wszystko zostało zabrane. I co kilka dni przychodził nowy domiar – zapłacić dodatkowy podatek. No i podatków już było tyle, że trzeba było zamknąć zakład, wstąpić do zakładu państwowego, w tym przypadku do

przemysłówki, i przez kilka lat nam się działo biednie, bo trzeba było domiary jednak spłacić.

10. Bardzo chciałem mieć rower, postanowiłem na niego zarobić

Bardzo chciałem mieć rower, ale rodzice w tym czasie na to nie mogli sobie pozwolić, więc postanowiłem, jako dziecko zaradne, bo tak jak mówiłem: uważam się za dziecko ulicy, że ja sobie zarobię. Miałem już lat trzynaście. I mój sposób wymyślony na zarabianie był taki, że nosiłem chorągwie, jak był pogrzeb. W lecie, bo jak odbywał się pogrzeb na przykład w kościele Bernardynów, to kondukt szedł na [ulicę] Lipową orszakiem, a na początku był niesiony krzyż i czarne chorągwie. Więc jak niosło się taką chorągiew, to na cmentarzu wrzucali jakieś pieniążki do kieszeni. I ja sobie w ten sposób uzbierałem na rower, bo byłem wytrwały. I w lecie to była duża konkurencja do chorągwi, ale w zimie, jak był duży mróz, to nie było i ja byłem w zimie etatowym nosicielem chorągwi. I uzbierałem na rower. Tata mój w tym czasie budował wielkie budowle: Rejowiec, Kraśnik Fabryczny. Cały tydzień przebywał poza domem w hotelach robotniczych, a przyjeżdżał tylko na sobotę, na niedzielę do domu. I jest sobota. Ja taty nie mogę się doczekać, ja mam pieniądze na rower. Na Krakowskim Przedmieściu naprzeciwko placu Litewskiego – tam, gdzie teraz jest McDonald's, był budynek – sklep sportowy. A na wystawie stał rower. Piękny, śliczny rower. Ja już miałem do tego roweru pierwsze części, już miałem dętkę zapasową, miałem wentyle, miałem pompkę, ale roweru jeszcze nie. Przyjedzie tata, bo tata powiedział: „Kupimy razem”. „Tata, chodź do sklepu, kupimy rower” – „Słuchaj, taki jestem zmęczony, kupimy rower w poniedziałek”. Niestety, w nocy została zrobiona wymiana pieniędzy. Ponieważ ja nie byłem pracownikiem, tylko miałem pieniądze pochodzenia nielegalnego, no to byłem tak zwanym spekulantem, czyli przy wymianie dostałem tylko jedną trzecią. I tak skończyło się moje marzenie o rowerze. Rower kupiłem. Skończyłem technikum. Za pierwsze trzy miesiące pracy kupiłem ten wymarzony rower, ale musiałem kilka lat poczekać. Wcześniej zapisałem się do klubu – wtedy był OWKS. Jeździli w tej drużynie bardzo znani kolarze: Andrzej Trochanowski, późniejszy znany trener Bugalski – uczestnik wyścigu pokoju, Melon – bardzo dobry zawodnik. I pozwolili mi złożyć taki rower z części, które już się do niczego nie nadawały, ale do treningów nadawał się. No i pierwsza praca od września – kupuję rower od Stanisława Osiaka, który był wtedy najbardziej znanym kolarzem Lublina. Kupiłem rower wyścigowy oczywiście, bo ja już trenuję w OWKS-ie na takim rowerze no, który się do treningów nadawał, ale to wyszło na dobre. W maju uczestniczę w pierwszym wyścigu, w tak zwanym pierwszomajowym. No i wygrałem wyścig. Przeniosłem się do Startu i później byłem jednym z kolarzy lubelskich. Stanisław Osiak, Tadzio Zdunek, oczywiście Zbyszek Matysiak – no tylko Zbyszek to miał przerwę, wiadomo, odsiadywał swoją przynależność do żołnierzy niezłomnych. Henio Krupiński – no niestety, w tej chwili już wszyscy świętej pamięci, ale o nich

pamiętamy, bo to były w tamtym czasie znane postacie środowiska lubelskiego. A potem zaczęła się praca.

11. U wujka Franciszka Kusyka w Rudzienku

Tam mieliśmy rodzinę ze strony mamy. Okazało się, że ten Franciszek Kusyk pułkownik – osoba wielce zasłużona, w jego pogrzebie w Lublinie brało udział ponad pięć tysięcy ludzi. Oczywiście wtedy śmy w ogóle nie wiedzieli, był po prostu wujek. Był ze strony mamy dalekim kuzynem, ale mówiłem do niego „wujku” i później po wojnie, chociażby z racji, że nas przygarnął, przyjaźniliśmy się przez cały czas. Dzisiaj no ma dzieci. Przyjaźnimy się z dziećmi. To tak tyle. U wujka, jak trafiliśmy do pułkownika Kusyka – o, to już było dobrze. Miód był na co dzień, nie mówiąc o innych rzeczach, bo to był gospodarz zamożny, no bo bardzo znana postać, można sięgnąć w Internecie, tam sporo o nim jest napisane. Bardzo ciekawa [postać], warto się zainteresować, jest wieś, która nazywa się Wypnicha. To była wieś rodzima mojego wujka Kusyka, ale to była wieś inna niż wszystkie. Tam był bardzo silny ruch oporu, tam było bardzo dużo rolników wykształconych. Tam były pierwsze spółdzielnie zawiązywane nie produkcyjne, tylko typu spółem, gdzie gospodarzono w sposób bardzo już – powiedziałbym – nowoczesny, a jednym z tych zaradnych ludzi tam był mój wujek Franciszek Kusyk, dla którego mam wielkie, wielkie, wielkie poważanie.

12. Chłopcy buszowali na dworze

Zabaw było bardzo dużo, bo w odróżnieniu od osób dorosłych, które raczej trzymały się pomieszczeń, chłopcy buszowali, że tak powiem, na dworze. Ulica Środkowa – piękna ulica, ulica mojego dzieciństwa. Kompleks działek budowlanych niezabudowanych od ulicy Środkowej aż do [Alej] Piłsudskiego. Były to tereny ogrodzone, ale nie zabudowane. W jednym z nich był wykonany tak zwany stan zerowy, to znaczy budynek piwnice miał wykonane i nic więcej, do parteru. Właściciele niektórzy to byli pochodzenia żydowskiego, inni byli pochodzenia polskiego, ale rozproszeni, ziemia niczyja. Chwasty ponad głowę – to była nasza preria. Tam odbywały się całe nasze spotkania. Wtedy w Lublinie było kino Gwiazda na ulicy Bernardyńskiej. W kinie Gwiazda był pokazywany bardzo znany film, młodzież go bardzo lubiła, a mianowicie tytuł filmu był „Timur i jego drużyna” – to pokazywali radzieckich, sowieckich pionierów – no propagandowy taki film – którzy byli bardzo dobrze zorganizowani i myśmy tam na przykład też próbowali się na ich sposób zorganizować, znaczy mieliśmy swoją taką drużynę, był przywódca drużyny, system alarmowy no i tak, żeby troszkę odbiec od tematu. Niedziela – dzień, kiedy odwiedzały się rodziny. Co którąś niedzielę do naszego mieszkania przychodziła ciocia z siostrą i wujek. Mama robiła obiad. Oni coś przynosili na obiad. Był wspólny obiad, bardzo często był to rosół z makaronem, a nawet czasami kurczak

nadziejany. Gdy kończył się obiad – czekałem tylko na to – ciocia Janina świętej pamięci mówi: „Maniuś – bo tak do mnie mówili – podaj mi torebkę. – I tam szperala w tej torebce, wyciągała jakieś pieniądze. Mówi – Idź na [ulicę] Narutowicza do pana Kaweckiego, kup trzy ciemne piwa, a tu masz złotówkę dla ciebie”. Ja pędziłem, stawałem na palcach przy ladzie. Na Narutowicza dwie cukiernie były naprzeciwko, bracia Kaweccy – jeden miał z jednej strony, drugi z drugiej strony sklep. Ja szedłem do tego po prawej stronie, stawałem na palcach, kładłem złotówkę na ladzie i mówiłem: „Okruchów proszę”. I pan Kawecki brał taką wielką torbę w trójkąt i szufelką [wypełniał] te wszystkie brzegi. Teraz to się z tego robi bajaderki, a kiedyś to kupowało się to jako tak zwane okruchy. I tego było dużo. I ja wtedy z tymi okruchami biegłem na moją ukochaną ulicę Środkową i co robiłem? Uruchamiałem alarm. Alarm to były żyłki wędkarskie, i każdy, kto należał do drużyny, przy budynku miał zawieszoną puszkę. Jak się ciągnęło za żyłkę, to puszki dzwoniły, czyli jest zbiórka. No i wtedy rozkładaliśmy koc i była uczta. Nawet przez pewien okres czasu byłem wodzem na ulicy Środkowej, być może, że z powodu właśnie tych okruchów. Okruchy jadam do dzisiaj. Jak są święta, moja ukochana małżonka Maryla wszystkie brzegi zbiera. Już wszyscy są po świętach, a ja jeszcze dwa tygodnie okruchy mam. Druga rzecz – to jeszcze przypomniało się mi tak w tej chwili. Druga moja ulubiona potrawa to jest szpinak. Ten szpinak, na który ja czekałem, gdzie zza węgła, zza chałupy w czasie wojny wyglądałem, czy już – dzisiaj moja żona robi ekstra. Szpinak to jest to.

13. Gry i zabawy z dzieciństwa

Bardzo popularna zabawa to uderzało się monetą o mur i musiała upaść jak najbliżej celu. Kto był najbliżej, ten wygrywał. No jazda z fajerką, że tak powiem, z takim specjalnym pogrzebaczem to była oczywista. Grało się w klipę, to znaczy było takie drewnenko, które miało na różnych stronach – tak jak kostka do gry – wypisane numery i podbijało się taką, no tak jak do krojenia mięsa jest taka deseczka – tą deseczką się podbijało no i tam zależy, ile tam punktów wyleciało, to sumowało się, kto wygrał, to wygrał. No, w czarnego luda, piłką w zbijanego. Ach, w piłkę. Piłka – marzenie. Oczywiście o piłce to można było tylko marzyć. Robiliśmy tak zwane szmacianki, no i na podwórku dwie bramki i grało się zapamiętałe, ale drugi okres to już był tam, gdzie jest stadion lekkoatletyczny – tam było boisko i tam chodziło się, bo niektórzy chłopcy mieli piłkę. Więc jak poczekało się dłuższy czas, może przyjdzie ten, co ma piłkę, to można było załapać się do drużyny i rozegrać mecz prawdziwą piłką. No i jeżeli jesteśmy przy piłce, to jeszcze jedno takie zdarzenie, a mianowicie miałem wujka Stefana, który miał aż siedmiu synów i mieszkali na Rurach. I wtedy były popularne mecze. I był mecz Rury i Helenów. I ja grałem w drużynie Rur, bo ich było siedmiu Ziębów i ja byłem dokooptowany, stałem na bramce. Mecz z Helenowem wygraliśmy trzy-dwa, a ja na tym terenie stałem się postacią znaną, to znaczy wtedy nie bardzo można było będąc z innej dzielnicy tak bardzo swobodnie

pójść na inną dzielnicę, bo intruzi nie zawsze byli mile widziani, a już pójść z dziewczyną z tamtej dzielnicy – u, to trzeba było mieć naprawdę dużą odwagę.

14. Ulica Środkowa i jej mieszkańcy

Na samym końcu ulicy, na wysokiej takiej skarpie, bo niżej był budynek rozbity – nie wiem, czy w wyniku wojny, czy po prostu zawalił się ze starości, ale ten nasz budynek długi taki to był na wysokości, powiedzmy, drugiego piętra biorąc pod uwagę poziom ulicy Dolnej Panny Marii. Nawiasem mówiąc doskonały wzgląd w ogóle na dolinę rzeki Bystrzycy, most, stadion żużlowy. W czasie wojny w tym miejscu stały działa przeciwlotnicze, to wszystko można było obserwować z okien. Z okna naszego też obserwowaliśmy scenę rozstrzelania zakładników przy moście na [Alej] Piłsudskiego. Tam jest tablica pamięci, warto ją też poczytać. Topografia ulicy: na samym dole w poprzek długi budynek z dwoma sieniami. W każdej sieni trzy mieszkania. W naszej sieni mieszkali państwo Banasikowie – oni byli chyba współwłaścicielami tego budynku. On z zawodu był mistrzem szewskim, ale nie lubił, jak mówiło się do niego, że on jest szewcem, bo on był cholewkarzem, a cholewkarz to jakiś był wyższy stopień tego zawodu. Po prawej stronie mieszkała pani Gryta, miała syna, mojego rówieśnika, który do niedawna służył w straży pożarnej. Bardzo ciekawa postać. Nazywał się chyba Stanisław Gdula – to były żołnierz carski i on miał zwyczaj taki, wyniesiony z wojska nawyk – bez względu na mróz siadał przed domem na ławce i mył sobie nogi. Nogi miał czerwone jak raki, prawdopodobnie kiedyś odmrożone. W armii carskiej służył lat dwadzieścia pięć. Opowiadał nam różne rzeczy. Dalej mieszkali państwo Wociowie – też tam był mój rówieśnik, Kazimierz. Wiem, że tak jak ja skończył technikum dróg i mostów. Później spotkałem go w życiu chyba dwa-trzy razy, ale jakoś tam później nie było okazji do tego, żeby się spotykać. A cała ulica to po prawej stronie kilka zabudowań, po lewej stronie kompleks ogrodów – tak jak mówiłem, naprzeciwko domu obora funkcjonująca, stara studnia kręcona i w połowie ulicy Środkowej drugie gospodarstwo tego typu, też z oborą, tylko tutaj ciekawostka jest: w tym domu zamieszkiwali państwo Cękalscy, to znaczy była pani Cękalska, bo pan Cękalski zawieruszył się gdzieś na wojnie. Była okupacja. Miała syna w moim wieku, ale jemu nie wolno się było z nami bawić, a nam nie wolno było do niego chodzić. Państwo Cękalscy przez cały okres okupacji w pomieszczeniu wykopanym w oborze przechowywali Żydów. Wychodzili w nocy. Myśmy o tym wiedzieli, bo to nie ukryło się, i proszę sobie wyobrazić, że z ulicy Środkowej nikt ich nie wydał. Ludzie widzieli to, że oni wychodzili w nocy, bo oni w nocy wychodzili zaczerpnąć powietrza, a w dzień siedzieli tam w tym ukryciu, no ale że tam te płoty były takie, jakie były, a sąsiad do sąsiada lubi zaglądać, to było publiczną tajemnicą, że Cękalscy trzymają Żydów. I tak trzymali do końca wojny. Szczęśliwie do końca wojny się dochowali. Nawet wydaje mi się, że ja ich już później w dzień widziałem, jak siedzieli przy stole i spożywali jakiś posiłek, bo już nie pamiętam, czy to było zaraz po

wojnie, czy pod koniec, ale ja kilka razy na tej posesji tam byłem.

15. W stodole pana Niedzieli był urządzone punkt skupu surowców wtórnych

Na ulicy Środkowej stała stodoła pana Niedzieli. Pan Niedziela to – jak mówiłem – był tata Zdzicha Niedzieli, który był doskonałym trenerem pierwszoligowego Startu. Nie tylko trenerem, wcześniej był doskonałym sportowcem. I w tej stodole pana Niedzieli był urządzone punkt skupu surowców wtórnych. Tam kupowano wszelkiego rodzaju butelki, złom i makulaturę. I ja tam czasami miałem dyżury, bo ten pan, który prowadził ten skup, musiał gdzieś wyjść, to mówił do nas: „Chłopcy, jakby ktoś przyszedł, to zważcie i zapiszcie na kartce, i powiedzcie, żeby przyszedł do mnie po pieniądze”. Tak że myśmy mieli prawo przyjąć, ale nie mieliśmy prawa dysponować pieniędzmi. A tam w tej makulaturze starodruki, stare księgi. Nie będę wymieniał nazwiska, ale ten pan na tych starych drukach, starych książkach no później miał się dobrze. Miał znany w Lublinie antykwariat.

16. W pewnym momencie Lublin, to nie było bezpieczne miasto

Kolejność była taka: idą Rosjanie, będą walki, uciekamy z Lublina gdzie kto może i z czym może. I natychmiast, jak tylko było powiedziane: Lublin jest wolny, skończyły się walki – wrócić jak najszybciej, zabezpieczyć swój dobytek, bo działo się różnie. Tak jak mówię: Lublin był napływowym miastem w tym czasie. No i trzeba powiedzieć, że to nie było bezpieczne miasto. To znaczy wiadomo, że Armia Krajowa miała tutaj swoją żandarmerię nawet i po wojnie, ale tak jak mówię, działy się rzeczy różne. O, jeszcze jeden moment mi się w tej chwili przypomniał z okresu wojny. Siedzę na Środkowej tam koło mojego domu, Dolną Panny Marii idzie żołnierz radziecki, sowiecki. Trzyma pod pachą pepeszę, a przed nim idzie czterech, może pięciu Niemców, trzymają ręce na karku i idą przed nich kilka kroków. Doszli do [Alej] Piłsudskiego. Przy Piłsudskiego było duże wysypisko śmieci. Usłyszeliśmy strzały. Baliśmy się tam pójść, ale później poszliśmy zobaczyć – leżały tam zwłoki tych Niemców, prawdopodobnie byli to SS-mani, bo pamiętam mieli czarne mundury. Był potem taki incydent, jak tam robiono parking, to znaleziono szczątki i była nawet ekshumacja, i nawet chyba gdzieś w prasie czytałem, że ktoś mówił na ten temat, co tam się wydarzyło. Tak jak mówiło się, to on ich prowadził skrótem, czyli Dolną Panny Marii na dworzec kolejowy, bo tam był taki punkt zborny, gdzie prowadziło się wszystkich jeńców, później gdzieś tam pociągami jechali dalej.

17. Baza i „zdobycze” naszej drużyny

Na tych ogrodach, jak wspominałem, ta nasza drużyna zrobiła sobie lokum w tym stanie zerowym, w tych piwnicach. Tam tych piwnic było kilka, to był komfort dla nas,

baza. No i tam nazbieraliśmy różnych rzeczy wojennych. Tam mieliśmy hełmy, tam mieliśmy nawet rkm, maski gazowe i bardzo dużo uzbrojenia, bo po prostu to leżało na ulicach i chłopaki to zbierali. Najwięcej tego było na [Alej] Piłsudskiego. I jeszcze jedno moje niecne czyny, bo mi przypomniła się [Aleja] Piłsudskiego. To już było chyba zaraz po wojnie, a może i nie. Jadą wozy, kampania cukrownicza. [Aleja] Piłsudskiego w dół jadą wozy. Wozy są załadowane do pełna burakami. I my, nasza drużyna, każdy w rękę ma procę i każdy w rękę ma długi trzymetrowy kij z gwoździem na końcu. No, wstyd się przyznać do tego, ale tak było. Strzelało się z procy w konia, jak koń szarpnął, to buraki spadały. Wtedy podbiegało się z tym kijem z gwoździem i nadziewało się cukrowego buraka i już był mój. Trzeba było tylko mieć tylko kij odpowiednio dłuższy do bata. Mama z tego potem tarła i robiła pyszne placki z buraków cukrowych. Pamiętam, że takie placki były jedzone u nas kiedyś na Wigilię. I styk z żołnierzami sowieckimi, bo poszedłem w tak zwaną gałązkę. Znaleźli ten nasz schron, bo potrzebowali miejsca. To wszystko zostało stamtąd zabrane, no bo wtedy młodzież niestety, ale bawiła się prochem, rozbierało się pociski, robiło się z tego tam różne, najróżniejsze rzeczy. Jeszcze wrócę na sekundę – chaotycznie się to zrobiło, ale wrócę na sekundę do – czym śmy się bawili. Bawiliśmy się ołowianymi żołnierzami, ale żołnierza ołowianego trzeba było kupić. A za co? A na ulicy Narutowicza, tutaj przy samej komendzie wojewódzkiej milicji był przez bombę rozwalony budynek, a budynek miał instalację elektryczną w ołowiu, więc myśmy całą instalację zdemontowali i przetopili na żołnierzy ołowianych. I były bitwy. Po kilkadziesiąt tych żołnierzy. Wymyślone bitwy, bo z armatkami, najróżniejszymi słowami. Ja początkowo go wygrywałem, ale w końcu przegrałem. Chciałem się odegrać, ale skąd wziąć następnych żołnierzy ołowianych? Miałem piękną kolekcję znaczków, która dzisiaj byłaby warta duże pieniądze, bo to były znaczki z tamtego okresu – niektóre nawet z nadrukami Generalnej Guberni. Zamieniłem się ze znanym dziennikarzem lubelskim. On mi dał swoje wojsko ołowiane, a ja mu dałem znaczki. No oczywiście następną wojnę znowu przegrałem, a znaczki tylko wspominam. I żołnierze sowieccy – wracam do tego wątku – tam, w tym naszym pomieszczeniu, zrobili sobie pomieszczenie na psiarnię, a mianowicie wyłapywali bezpieczne psy, których było bardzo dużo. Podobno te psy były potem szkolone do walki z czołgami. Pies był uczony, że jedzenie daje tylko z czołgu. Zakładano na psa ładunek i puszczano go na czołgi. Może w innych celach, ale widzieliśmy później, jak z naszego – myśmy to nazywali zamku – wyprowadzali kilkanaście psów. I tam ten teren był przez pewien okres zajęty przez Rosjan. Kiedyś poczęstowali nas zupą nawet, ale nie dawała się jeść ta zupa.

18. Urok i groza dawnej Bystrzycy

Bystrzyca w lecie była piękną rzeką. Można było pływać, bo były kajaki, bo można było wynająć kajak, bo można było zapisać się do ligi morskiej i być tam szkolonym,

co dawało okazję do pływania, że tak powiem, bezpłatnie. Natomiast była to groźna rzeka, bo były straszliwe powodzie. Ten cały teren parku, dzisiejszego jednego basenu, to wszystko to stało, jak była powódź, pod wodą. Cała Rusałka była zalana. Przeprowadzić się z ulicy Górnej na Zamojską to był problem, to wszystko stało pod wodą. To był teren zalewowy, ale znowu jesienią, jak zaczynała się kampania cukrownicza, to całą rzeką płynęła piana i okropny był zapach tych odpadów buraczanych. To dawało się we znaki. To dzisiaj nie do wyobrażenia jest, żeby tak mogło być. No zresztą po cukrowni już śladu nie ma.

19. Okres dzieci PRL-u, stadne życie i karty konsumpcyjne

Okres zaraz po wojnie to okres tak zwanych dzieci PRL-u. Wszyscy chodziliśmy w tenisówkach, ale już były tenisówki, bo wcześniej to różnie bywało. Wszyscy chodzili w tenisówkach, wszyscy chodzili w skarpetkach w paski i wszyscy chodzili w jednakowych takich koszulkach też w kolorowe paski. Była dosyć duża seria, kiedyś to w Polsce zaczął ktoś produkować, to było pod dostępem i to było modne. Na głowach mycki robione koniecznie na drutach. I jak jesteśmy przy włóczce – tak zwana kiczka, to znaczy włóczka opasana ołowiem, którą się podbijało nogą – kto podbił więcej razy, ten wygrywał. A gry były takie, że każdy dawał jakieś fanty i ten, co wygrywał, zabierał wszystko. Nazywało się to „szlifowanie Krakowskiego Przedmieścia”, ale to już był 1954 rok. Wszyscy się znali, a znali się z Krakowskiego. Od Bramy Krakowskiej, już była Czarcia Łapa, do KUL-u szło się prawą stroną, wracało lewą. Ubrani byli wszyscy jednakowo, elegancko, bo już weszły koszule non iron, białe, chłopcy nosili krawaty, a wszyscy – nawet jak było ciepło – chodzili w płaszczach ortalionowych. Płaszczki ortalionowe były w dwóch kolorach, w trzech: czarne, granatowe i brązowe. I wszyscy w tych płaszczach chodzili. A jeżeli już ktoś miał tranzystor, bo się w tym czasie pojawiały, to obowiązkowo tranzystor trzymało się pod pachą, szło się przez Krakowskie i nastawiało się go na cały głos, głównie Luksemburg. Tak chodzili i słuchali, a co ciekawe: te tranzystory były coraz większe, więc niektóre były pokaźnych rozmiarów no i taki posiadacz szczęśliwy tego tranzystora musiał pokazać wszystkim, że ma, bo zaraz potem było tak zwane życie stadne, to znaczy wszyscy żyli w paczkach. I te paczki: jeden miał motor, drugi miał tranzystor, trzeci miał z kolei coś tam jeszcze i to doskonale w tej paczce funkcjonowało, wszyscy mieli wszystko. I paczki przyjaźniły się na śmierć i życie, że tak powiem. Agnieszka Osiecka to nazwała – tak zwane stadne życie. To wynikało z tego, że była ciasnota mieszkaniowa. Nie było praktycznie, przynajmniej w moim otoczeniu, kolegi czy koleżanki, który mógłby nas zaprosić do domu, żebyśmy tam w domu pobyli. Nie, myśmy spotykali się poza miastem. A jakśmy się spotykali? Najczęściej w Czarciej Łapie. Ale w Czarciej Łapie – ja już mówię o czasach lat pięćdziesiątych, a dokładnie w 1954 roku, bo w 1954 roku, gdy skończyłem maturę, trzy dni po maturze poszliśmy do kawiarni Regionalna zamówić kawę i po lampce

wina. Wcześniej do kawiarni uczniom chodzić nie wolno było. Po kawiarniach chodziły tak zwane trójki: nauczyciel, rodzic i milicjant, którzy sprawdzali legitymacje szkolne. I z legitymacją szkolną było przechłapano potem w szkole, ale później znowu był inny zwyczaj: karty konsumpcyjne. Trudno wytłumaczyć dzisiaj, co to jest, ale żeby usiąść przy stoliku w Regionalnej albo w Czarnej Łapie trzeba było wcześniej udać się – najczęściej przy szatni – i wykupić karty konsumpcyjne na dwadzieścia czy czterdzieści, czy ileś złotych. To upoważniało do zajęcia stolika. I później, jak zamawiało się na stoliku to coś, to najpierw wykładało się – jeżeli rachunek wyszedł sto złotych, a ja miałem czterdzieści w kartach konsumpcyjnych, to dopłacałem czterdzieści złotych. To było po to, żeby nie zajmowały stolików osoby, które mają małą konsumpcję, ale robiliśmy w taki sposób, że jeżeli chcieliśmy się spotkać – najczęściej spotykaliśmy się w piątki, bo w piątek planowało się, co będzie się robić w weekend, czy jedzie się na wycieczkę czy co, później już niektórzy mieli motory – spotykamy się w piątek w Czarnej Łapie. To jeden musiał przed południem pójść i tam przy stoliku wykupić karty konsumpcyjne i dyżurować na przykład do godziny siedemnastej, aż po pracy wszyscy tam się spotkają na zwołany, że tak powiem, wyznaczony termin. Tak było z kartami konsumpcyjnymi.

20. Tak funkcjonował wtedy targ

Wojna, nie ma co jeść. Na przykład chodziłem na ten targ i prosiłem o odrzuty, na przykład jak ktoś sprzedawał kalafiora, to oberwał te liście. To ja te liście brałem do domu, bo z tych liści to można było część dać królom, to było niejadalne, a z niektórych liści ugotować pyszną zupę kalafiorową. Ten targ to była bardzo ważna rzecz, bo tam można było pożywić się przy targu. Tam już można było kupić różne rzeczy. Tam był targ w czasie okupacji taki, co można go pokazywać, że tak powiem, na filmach, a mianowicie nikt nie trzymał towaru wyłożonego, tylko towar na sznurkach był pod kurtką. Tylko jak ktoś szedł, to się pokazywało, pokazywali, że ma kiełbasę czy baleron i szło się do bramy robić transakcje dopiero. Tak funkcjonował targ. Jarzyny oczywiście były na targu, jajka, kury – co kto miał do sprzedania. A kobiety przychodziły z tak zwanymi zojtkami. To znaczy miały coś w rodzaju koszyka, w tym koszyku miały swoje warzywa i to było zawinięte w prześcieradło, a prześcieradło było na plecach i na piersiach było związane. Z tym przychodziły na targ. I potem prześcieradło na boczek, a w koszyku wystawiany był towar do sprzedaży. Funkcjonowały też działki nad Bystrycą. I niektórzy całkiem nieźle sobie z tych działek żyli, bo tam uprawiali to wszystko i sprzedawali. Ceny były niezrozumiałe dzisiaj zupełnie, dlatego że na przykład – taki przykład podam, że – ja mam rodzinę we Francji i czasami otrzymywaliśmy paczki, bardzo rzadko. I na przykład jeżeli w paczce była kawa, na przykład kilogram niezmielonej kawy, to mama tą kawę niosła do pana Widelskiego – to jest też znana postać, miał na bardzo wysokim poziomie kawiarenkę przy teatrze, naprzeciwko kościoła pobrygidzkiego, to za te pieniądze

uzyskane od pana Widelskiego mieliśmy całkiem niezłe urozmaicenie życia przez miesiąc. Kilogram kawy.

21. Tata był mistrzem blacharskim

Miał kilku uczniów, miał czeladników i w porywach zakład liczył pięć osób. A głównie specjalizował się w wieżach, bo geometria, jak kryje się wieżę, to wszystkie elementy są nie do zrobienia na górze. Trzeba to umieć wyciąć wszystko na dole, a na górze zmontować, a to już jest geometria, ja to robiłem na studiach, a tata już to znał. Plus galanteria. Na przykład pamiętam, że do sklepów robił później neony, a wtedy to były robione litery z blachy, a w środku były żarówki. Takie najróżniejsze różności. [Zakład znajdował się] koło sądu. To jest chyba Krakowskie Przedmieście 41, jeżeli dobrze pamiętam. Idąc od bramy – pierwsza brama przed sądem.

22. Klub Górski Dromaderów i Koliba

Jako ciekawostkę na zakończenie powiem jeszcze, że ja jestem członkiem i założycielem razem z panem Markiem Wyszowskim i z panią Hanią Wyszowską Klubu Górskiego „Dromaderów”, a później „Koliby”. I tam poznałem moją ukochaną małżonkę, na Łysicy o północy. Mianowicie to był czas obowiązkowych pochodów pierwszomajowych. Ja bardzo nie lubiłem pochodów, dlatego że ja bardzo często brałem udział w pochodzie w kolumnie sportowej, a kolarzom nakazywano przyjście w strojach, że tak powiem, sportowych, czyli w koszulkach i spodenkach, a w tamtych czasach w maju czasami potrafił śnieg poproszyć. I ta kolumna sportowa to bardzo długo oczekiwała na swoją kolej. I to się zawsze wiązało z dużym, że tak powiem, wychłodzeniem organizmu i tego śmy nie lubili bardzo. No i cóż wymyślić, żeby na te pochody nie chodzić? Wymyślił to pan Marek Wyszowski: zrobimy dla uczczenia Święta Pracy rajd w Górach Świętokrzyskich. I napisało się regulamin, a w regulaminie na samym początku było napisane, że to jest dla uczczenia Święta Pracy. I wtedy bez żadnych problemów wyjeżdżało się na tak zwany weekend majowy najlepiej w Góry Świętokrzyskie, bo to blisko. Noclegi były u gospodarzy w ramach tak zwanego szarwarku. Gospodarz miał obowiązek na cele społeczne wykonać pewne prace, między innymi przenocowanie osób, więc wtedy szło się do sołtysa, sołtys przydzielał: ta grupa do tego gospodarza, ta do tego, ta do tego. Rano był wymarsz, ale to jest rajd dla uczczenia Święta Pracy, więc trzeba było zrobić pochód, więc pan Marek poprosił sołtysa, sołtys opierał się, ale w tym był cały plan. Pan Marek z panem sołtysem stanęli pod drzewem, a myśmy przedfilowali przed nimi wznosząc patriotyczne okrzyki, po czym pan Marek szedł do sołtysa i sołtys na wcześniej przygotowanym zaświadczeniu, że taki i taki brał udział w rajdzie dla uczczenia Święta Pracy wstawiał okrągłą pieczętkę. I z tą okrągłą pieczętką w poniedziałek szło się do kadrowego pokazać: a jednak ja byłem. I w ten sposób na

spotkaniu przed pierwszym z tych rajdów spotkałem moją małżonkę. A dlaczego na Łysej Górze i o północy? No bo zajechaliśmy tam do Świętej Katarzyny na nocleg i któryś mówi: „Patrzcie, jaka piękna dzisiaj pełnia. Idziemy na Gołoborze”. No i poszliśmy. I tam akurat poznałem małżonkę, zaczęliśmy rozmawiać i tak później już razem byliśmy w tym klubie górskim. Odbiliśmy razem bardzo dużo pięknych wędrówek pod przewodnictwem Marka Wyszковского i Hani Wyszowskiej. A później mi tak to zaowocowało, że nawet mi się udało dosyć dokładnie w Algierii zwiedzić Atlas Tellski.

23. Do dawnego Ogrodu Saskiego chciało się chodzić

I niestety dzisiaj Ogród Saski muszę skrytykować. Oczywiście nie to, że został odnowiony, że jest ładny, tylko Ogród Saski to był miejscem spotkań. Na środku Ogrodu Saskiego stała fontanna i do Ogrodu Saskiego szło się z rodzicami w niedzielę, po mszy szło się na ciacho, na oranżadę, na lemoniadę. I było miejsce, gdzie przygrywała orkiestra. Grała muzykę klasyczną. I to było piękne miejsce, pięknie wysadzone, zegar był słoneczny. Do tego Saskiego Ogrodu chciało się chodzić. A szczerze powiem, że w ubiegłym roku w lecie zrobiłem sobie akurat przejście, bo mi tak pasowało, skrótem przez Ogród Saski i był upał, i chciałem coś się napić – już się nie napiłem, dopiero w Domku Saskim. A Domek Saski pamiętam, mam w oczach, z tyłu za Domkiem Saskim wyгородzony ogródek, parasole i pod parasolami Niemcy siedzą i piją. Domek Saski, jeżeli dobrze pamiętam, to był „Nur für Deutsche” – mój niemiecki jest bardzo ubogi, bo ja znam około pięciu tylko słów, których właśnie nauczyłem się w czasie okupacji. To jest: „hände hoch”, „schnell”, „loss, loss”, „nur für Deutsche” i „Deutschland, Deutschland über alles” – tyle znam niemieckiego, tyle się nauczyłem w czasie okupacji. Niestety to wszystko są wyrazy, których wolałbym nie znać.

Data i miejsce nagrania	2019-01-30, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Kołodziej
Redakcja	Dagmara Spodar
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"